

Barbara¹

Pomysł przyszedł z zewnątrz: redaktorzy „Tematów z Szewskiej” przygotowywali numer o przestrzeni i zwrócili się do mnie z prośbą, bym napisała coś o Wrocławiu z okresu moich studiów (w latach 1974-77). Wstyd się przyznać, ale trochę mi „się nie chciało”. Zaproponowałam więc udział w tym przedsięwzięciu Mamie i Siostrzenicy. Szybko przekonałam się, że proste zamówienie na artykuł okazało się jedną z największych przygód emocjonalno-intelektualnych nie tylko mojego życia.² Pozwoliło dowiedzieć się – zarówno mnie o sobie, jak i o współautorkach – zupełnie nowych i nieoczekiwanych rzeczy, wytworzyć z nimi dodatkową więź, a przede wszystkim wspólnie doświadczyć, czym jest dziwna praca pamięci w odniesieniu do miejsc.

Od kiedy zainteresowałam się biografią (w latach 80. ubiegłego wieku), przy każdej okazji starałam się „naciągać” moją Babcię i Mamę na opowieści o przeszłości. Sama od wczesnej młodości prowadzę dziennik. Zaczęłam też doceniać rodzinne archiwum fotograficzne i inne źródła. Mój Tata bardzo lubił fotografować i z zapalem dokumentował życie naszej rodziny, zaś Mama zgromadziła na ścianie salonu galerię portretów rodzinnych namalowanych przez Jagę Karkoszkę obejmującą pięć pokoleń. W tym wypadku zrodził się pomysł, by opowiedzieć historię rodziny nie „przez ludzi”, tylko „przez miejsca”. Jak się szybko okazało, taką historię opowiada się inaczej. Miejsca ujawniają



Barbara Fatyga

JANINA FATYGA
BARBARA FATYGA
LUDWIKA MALARSKA

Miejsca w cieniu

niają inne podziały niż historie skupione na interakcjach z ludźmi (takie są zwykle relacje biograficzne czy wspomnieniowe), chociażby dlatego, że wymagają określenia swojego położenia i sytuacji, a to zawsze jest osobne, nawet mimo założenia o przekładalności perspektyw.³ Odsłaniają też inne wymiary tego, co wspólne – delikatną sieć emocji, wyglądu i poglądów. Biografie opowiadane „przez miejsca” są *ex definitione* konkretne i czasoprzestrzennie zakorzenione, ale relacje różnych osób o tym samym miejscu nieuchronnie je „odkonkretniają” chociażby przez wielość spojrzeń i – zamierzoną bądź nie – ambi- i poliwalencję znaczeń. To podstawowe rozumienie kontrowersyjnej kategorii nie-miejsca Marca Augé, jakie chciałybyśmy tu zaproponować.

Współpracę naukową z Mamą zaczęłyśmy już wcześniej – w latach 2007-10, kiedy przygotowywała swoją książkę o Mostowicach i Orlickim Zahorzi.⁴ Wtedy nauczyłam Mamę techniki wywiadu biograficznego narracyjnego, obie z Ludwiką pomagałyśmy realizować wywiady w Mostowicach, pomagałam też zredagować pierwszy tom tego niezwykłego dzieła. Rzadko bowiem ma się do czynienia z monografią miejsca opisanego, poczynawszy od budowy geologicznej, a na świecie mitów i duchów (od ziemi do nieba) kończąc, a tak właśnie Mama opisała Mostowice – wieś, w której przez ponad czterdzieści lat prowadziła prace badawcze. Jednak to, co potem zaczęłyśmy razem robić, przerosło wszelkie moje oczekiwania...

Po zakopiańskiej konferencji, która była dla uczestników niezwykle przeżyciem, dowiedziałam się o sobie jeszcze jednej rzeczy: mam wielkie szczęście, że mogę odtworzyć, w bezpośredniej łączności z czterema pokoleniami, historię naszej rodziny, bo wielu moich rówieśników w ogóle nie może tego uczynić albo musi składać tę historię z przypadkowo ocalałych okrucichów. Mamę z Ludwiką szczęście, bo większość miejsc ważnych dla nas była też ważna dla naszych poprzedniczek w pokoleniowym ciągu, w paradygmatycznym i syntagmatycznym łańcuchu kolejnych generacji.⁵ Syntagmatyczny łańcuch tworzą tu miejsca (ogniwa), które łączone są przez różne pamięci. Ciąg meta-

foryczny obrazuje pojedyncze miejsce-ogniwo, które organizuje treści i *eo ipso* znaczenia w wielopoziomowe i niejednoznaczne struktury. Ich zbiorowe znaczenie i wartość to nasza wspólna wiedza, osobiste doświadczenia, ale także (co nawet chyba ważniejsze) emocje. Jak pisze Edmund Leach, metafory i metonimie podlegają w rzeczywistości skomplikowanym transformacjom. Tak było i w tym wypadku. Dodatkowych „bonusów” naszej wspólnej pracy jest więc wiele: odkryłam, że podobne poczucie humoru łączy nie tylko Mamę i mnie, lecz i Ludwikę, że miejsc wspólnych mamy naprawdę dużo i że ich *genius loci* tworzy się pomiędzy nami.

Ludwika

Kiedy zaczynałyśmy pracę nad książką o percepcji przestrzeni przez trzy kobiety należące do różnych pokoleń tej samej rodziny, zainspirowane tematem narzuconym przez pismo, wydawało nam się, że zadanie jest ciekawe, intrygujące i dość proste. Miałymy z góry ustalony warsztat: każda z nas, wychodząc od jednego punktu w przestrzeni (Wrocław) i czasu (okres studiów), miała opisywać ważne dla siebie, istotne miejsca w sposób, jaki wydawał jej się najbardziej naturalny. Nie chciałyśmy ograniczać się żadną przyjętą z góry perspektywą interpretacyjną. Miałymy sobie nawzajem czytać powstałe w ten sposób luźne fragmenty, rozmawiać o nich, dopasowując do siebie elementy



Ludwika Malarska

układanki – każda z nas miała więc być zarazem pisarzem, czytelnikiem i krytykiem. Zderzenie trzech światopoglądów i osobowości – bardzo różnych, ale też i podobnych – oraz troista metoda pracy: pisanie, czytanie, dialog, gwarantowały, jak sądziłyśmy, pełną symetrię, swobodną wymianę treści, ale też nieuniknione wewnętrzne napięcia, które wносиłyby do naszego wspólnego dzieła dodatkową wartość.

Niestety, w tej formie książka nie powstała – brak czasu, codzienne kłopoty, potem choroba ukochanej Babuni sprawiły, że nie mogłyśmy skupić się na tej pracy, kiedy jeszcze wszystkie trzy mogłyśmy ze sobą rozmawiać. 22 stycznia 2011 roku Babunia zmarła po wielomiesięcznej chorobie. Każdy, kto ją znał, zgadza się, że była wyjątkową osobą. Janina Fatyga: wielka uczona,⁶ niezwykle otwarty umysł, niezłomny charakter, zdrowy rozsądek i umiejętność zawierania kompromisów – tak była postrzegana przez środowisko naukowe i polityków, z którymi niejednokrotnie musiała trenować swoje dyplomatyczne talenty. Dla nas była nie tylko wzorem osobowym, ale przede wszystkim oparciem; krytykowała, ale zawsze można było na nią liczyć; była czuła, pogodna i bardzo wrażliwa. Moja Mama opowiadała mi, że gdy Babunia była smutna – czasami płakała, a kiedy się cieszyła – śpiewała.

Dlaczego piszę o Niej „Babunia”? Przecież w poważnym piśmie takie osobiste czułości wyglądają „nieprofesjonalnie”. Bardzo wiele kobiet nie lubi i nie akceptuje słowa „babcia” niezależnie od stanu faktycznego. Szukają dla siebie nowego imienia, na użytek wnuków, które z czasem może, ale nie musi, przekształcić się w „rodzinny tytuł oficjalny”. Moi synowie na moją Mamę mówią Babi lub Babusia, a na Ciocię, która też nie chciała być po prostu babcią – Babasia). Babunia tak wybrała, kiedy się urodziłam jako jej pierwsza wnuczka – dla symetrii, bo mówiła do mnie „Wnunia” – i wymagała, by tak właśnie ją nazywać. W jednym ze swoich tekstów, autobiograficznych notatek, sama przedstawia się tak:

Janina

„Czuję się nestorką rodu. Babunia, jak mnie nazywają moje wnuki i prawnuki, ktoś na wzór pozytywnych matron z powieści Rodziewiczówny i Orzeszkowej, na których się wychowałam. Chłopskie korzenie utrwaliły mi w genach wrażliwość na przestrzeń i przyrodę. Dlatego dobrze się stało, że moja obsesja związana ze studiami medycznymi się nie ziszcza. Uzmysłowiłam to sobie bardzo późno, bo dopiero w wieku 82 lat [...]. Wizja spędzenia w atmosferze szpitalnej całego życia wydała mi się wówczas przerażająca. Cudowna zielona przestrzeń, która dzięki studiom rolniczym stała się warsztatem mojej pracy, nabrała z czasem zupełnie nowych cech i stała się podstawą filozofii mojego życia”.

Ludwika

Minęło parę miesięcy i zaczęliśmy się zastanawiać, czy bez Babuni nasz pomysł na książkę ma jeszcze rację bytu, czy można dokończyć projekt? Babunia zostawiła nam teksty: prócz bogatego dorobku naukowego, kilku wywiadów prasowych i książki o Mostowicach, liczne materiały do naszej wspólnej pracy, w których znajdują się szczegółowe opisy wielu miejsc, a także historie i wspomnienia o ważnych dla niej ludziach, rodzinnym domu i latach młodości. Wiele z tych notatek wymaga przepisania, ponieważ Babunia nigdy nie przekonała się do używania maszyny do pisania czy komputera. Trzeba przyznać, że z nas trzech to właśnie Ona najpoważniej potraktowała pomysł wspólnego pisania – tworzony przez nią fragment do „Tematów z Szewskiej” rozrósł się do kilkudziesięciu stron; zainspirowana, opisywał wiele istotnych dla siebie miejsc, nie przestała – pisała do końca.

Materiały, które pozostawiła, starczyłyby na interesującą, bogatą autobiografię. Jednak jednym z założeń naszej pracy miał być dialog, wymiana doświadczeń, wzajemna krytyka. Babunia nic już więcej nie napisze, my nie przeczytamy jej komentarza do naszych refleksji. Możemy zadawać tylko te pytania, na które odpowiedzi już znamy (co nie wyklucza niespodzianek). Nie możemy jednak mówić o utkaniu, spleceniu naszych opowieści w jedną spójną całość – praca z tekstem przypomina raczej układanie mozaiki, w której chcemy wykorzystać jak najwięcej lśniących kamyków od Babuni. Musimy tak doszlifować nasze płytki, żeby były ładnie dopasowane i żeby nie uszkodzić tego, czego już nie da się zmienić. Nie możemy już „skakać” po miejscach, motywach i tematach dowolnie, jak zamierzaliśmy. Szukamy w naszych historiach przede wszystkim miejsc wspólnych, rezygnując z tych, które są zbyt odległe czy osobne; będzie to przede wszystkim Wrocław w różnych jego odsłonach: mieszkanie na Sępolnie, które było domem każdej z nas, park Szczytnicki, I i XI Liceum Ogólnokształcące, plac Grunwaldzki, Uniwersytet.

Przestrzenie, które do tej pory były tylko Babuni, nie muszą pozostawać na obrzeżach wspólnej narracji – możemy próbować adoptować je tak, by stały się także częścią naszych opowieści. Ode mnie osobiście wymagałoby to podróży – chciałabym odwiedzić wiele miejsc, ale nie na zasadzie „podróży sentymentalnej”; muszę jakoś wpasować się tam z moją własną historią, w taki sposób, by powstały nowe węzły opowieści. Jak? Nie mam jeszcze pojęcia.

Kiedy Babunia podjęła temat miejsc i przestrzeni swojego życia, od początku odczuwała konflikt dwóch różnych perspektyw, widocznych w przytoczonym cytacie, z jednej strony badacz-przyrodnik o „chłopskich korzeniach”; z drugiej – osoba wychowana na literackich wzorcach dziewiętnastowiecznej powieści. Przyrodnik skupia się na szczegółach – wymienia dokładnie

wszelkie fizyczne własności obiektu, kolor, kształt, fakturę, lokalizuje go precyzyjnie w przestrzeni i czasie, nie pomija zagadnienia funkcji; opisuje ogólne działanie i relacje, w jakie wchodzi obiekt z innymi czynnikami. Jej opisy miejsc i organizujących przestrzeń przedmiotów pełne są detali i wyliczeń, nie ma w nich nic zbędnego; zwraca uwagę na najistotniejsze, konstytutywne cechy danej rzeczy, miejsca czy sytuacji. Lata pracy tradycyjnymi i supernowoczesnymi narzędziami kartograficznymi nadały jej tekstom szczególny walor geograficzny: dużo jest tu subtelnych odniesień przestrzennych pozwalających wręcz na szkicowanie tras, którymi spacerowała jako młoda dziewczyna. To specyficzna wrażliwość człowieka, który całe swoje życie zawodowe związał z przyrodą. Babunia niemal nigdy nie napisze „drzewo”; zawsze będzie to topola, buk lub kasztan, zachwyci się urodą kwitnącej łąki (a dokładnie łąnu, np. wierzbówki koprzyca lub kaczęńców nad górskim strumieniem) albo zwróci uwagę na południową ekspozycję jakiegoś pola na stoku.

Jednak tkwi w niej wewnętrzne przekonanie – już nie uczono – że sam opis nie wystarczy, że nie jest ciekawy. „Jak mam tak pisać o miejscach pamięci – żałowała kiedyś – miejsca bez ludzi są nudne!”. Jest to postawa gawędziarza, dla którego głównym tematem zawsze będzie człowiek – jego wygląd, życie, historie, emocje, konflikty. Lecz Babunia nigdy nie przyzna tego wprost, nawet tak nie pomyśli; gawędziarzowi sprzeciwi się przyrodnik, dla którego „miejsce” pozostanie zespołem pewnych własności fizycznych, które warto badać, po prostu dlatego, że naukę warto uprawiać bez względu na wszystko – to jeden z jej życiowych aksjomatów. Nauka nie dla każdego musi być ciekawa, a Babunia chce przede wszystkim zainteresować czytelnika, zarazić swoją pasją lub podzielić się wspomnieniem.

Wyzwanie „nauki ciekawej” Babunia podjęła, pisząc książkę o Mostowicach, w której osiągnęła swój cel dzięki połączeniu mnogości perspektyw i zastosowaniu interdyscyplinarnego podejścia. Natomiast przestrzenie „miejsc pamięci” z jej autobiograficznych notatek pełne są bohaterów naszkicowanych w kilku słowach, barwnych postaci – nauczycieli, kolegów ze studiów, współpracowników, sąsiadów. Czytając te zapiski, można odnieść wrażenie, że ludzie pojawiają się w opisywanych miejscach w sposób konieczny, ale niejako przypadkiem, tak jakby Babunia nie mogła powstrzymać narzucającej się dygresji lub anegdoty. Na przykład opisując gmach uczelni przy wrocławskiej ulicy Norwida i znajdującą się w nim Katedrę Szczegółowej Uprawy Roślin prof. Antoniego Wojtysiaka, płynnie przechodzi do charakterystyki jego postaci:

Janina

„Wysoki, postawny, zawsze wyprostowany, chodził powolnym, dostojnym krokiem. Nazywany był «rolni-



Janina Fatyga

kiem z Marszałkowskiej», gdyż rzeczywiście mieszkał w Warszawie i co tydzień lub dwa tam właśnie wyjeżdżał. Gdy wchodził do pracowni, wszyscy podnosiliśmy się z miejsc, a on łaskawie kazał nam siadać. Wykładał bez notatek i żadnych pomocy naukowych, piękną polszczyzną, głośno, wyraźnie bez jednego zbędnego słowa. Wykład kończył zawsze w ten sposób: «Na tym kończymy, dalszy ciąg prześlemy państwu na następnym wykładzie». Podświadomie czekałam, że formułę tę poprzedzi «My Król Polski w Majestacie Rzeczypospolitej».

Ludwika

Język, jakim pisze Babunia, to również piękna polszczyzna „bez jednego zbędnego słowa”. Wychowana na „pozytywistycznych powieściach Rodziewiczówny i Orzeszkowej”, formułuje zgrabne, pełne zdania bez stylistycznych ekstrawagancji – głównymi narzędziami opisu są epitety, porównania i wyliczenia. Bez problemu wchodzi w rolę jednoczesnego narratora i bohaterki swoich tekstów, zachowując pogodny, często nacechowany humorem dystans do opisywanych sytuacji; nie unika delikatnych ocen etycznych czy estetycznych – niczym prawdziwy dziewiętnastowieczny pisarz chce kształtować gust i postawę moralną czytelnika.

Klasyczna powieść, jako wzór uprawiania literatury, bardzo mocno wpłynęła na teksty Babuni również pod względem ogólnego rozumienia biografii jako takiej – kompleksowego spojrzenia na swoje życie. Mimo że jej teksty nie stanowią uporządkowanej chronologicznie całości: jeden dotyczy kolejnych miejsc

zamieszkania, inny studiów i drogi zawodowej, jeszcze inny najwcześniejszych lat edukacji czy tradycji kulinarnych wyniesionych z rodzinnego domu – to wyłania się z nich wyraziście linearny obraz życia skoncentrowanego na rozwoju autorki. Biografia dzieli się na wyraźne etapy i każdemu z nich odpowiadają poszczególne lokalizacje. Każde z opisywanych miejsc istnieje w bardzo konkretnej czasoprzestrzeni. Kiedy pewien etap dobiega końca i trzeba zrobić kolejny „krok”, miejsce dla tekstu przestaje istnieć, chociaż Babunia nadal jest świadkiem, jak istnieje i jak się zmienia. Nie chce być kronikarzem zmian. Tak jest niemal ze wszystkimi opisywanymi przez nią „miejscami pamięci” – drugim wrocławskim mieszkaniem na Sępolnie,⁷ w którym ja mieszkam do tej pory, dawnym budynkiem IMUZ-u, gdzie Babunia spędziła 45 lat swego zawodowego życia, oglądanym potem z okien samochodu, czy wreszcie okolicami placu Grunwaldzkiego, przestrzeni ważnej w okresie studiów, która do czasów obecnych przeszła wiele metamorfoz.

Janina

„Niezabudowany jeszcze wtedy plac Grunwaldzki stanowił ogromną odkrytą przestrzeń ciągnącą się w zasadzie od mostu Grunwaldzkiego po most Szczytnicki. Przestrzeń ta przecięta była linią tramwajową, po której tramwaj nr 9 dowoził pasażerów na Sępolno. Pamiętam akcję sadzenia topoli wzdłuż tej trasy, w czym jako studenci uczelni przyrodniczej braliśmy udział. Oblegany był bar mleczny na ulicy Curie-Skłodowskiej gdzie najtańszymi daniami były makaron z mlekiem i kasza. Do bardziej wykwintnych należały bułka z masłem i mleko bądź kawa, a daniem świadczącym o dużej zamożności konsumenta i wręcz jego rozrzutności była jajecznica na maśle z dwu jaj. Szczególnie okazały były fetowane pachnącym surową margaryną ciastkiem w cukierni „pod trumienką”, gdzie w następnym oknie obok wystawy z wyrobami cukierniczymi znajdowała się mała trumienka jako reklama zakładu pogrzebowego. Obiady jedliśmy w stołówce na ulicy Wojciecha z Brudzewa położonej tuż nad Odram po lewej stronie za mostem Szczytnickim. Już od godz. 13 ciągnęły tam tłumy zgłodniałych i rzadko głód ten był zaspokojony. Cienka zupka i ziemniaki z kapustą i plasterkiem kaszanki czy pasztetowej nie były w stanie zaspokoić naszych apetytów”.

Barbara

Dla mnie tzw. WSR (Wyższa Szkoła Rolnicza, potem Akademia Rolnicza) to przede wszystkim miejsce, które jako mała dziewczynka odwiedzałam z Mamą. Przychodziłyśmy do mojego Taty, który przed moim urodzeniem zaczął tam pracę jako asystent profesora Wojtysiaka. Fascynował mnie ogrom tego budynku, obszerny hall i reprezentacyjna klatka schodowa, wielkie kwadratowe okna, zaaferowanie ludzi, postać Taty

w granatowym, drelichowym fartuchu, wagi, dziwne przyrządy, próbki i zapach laboratorium, w którym nas przyjmował: mieszanina zapachu suchych zbóż, siana i jakichś substancji chemicznych. Miłe było, że wszyscy, nawet profesor, się do mnie uśmiechali. Imponowało mi, że tacy ważni ludzie zwracają na mnie uwagę. Z kolei ulica Curie-Skłodowskiej to częsta trasa moich nocnych powrotów w czasie studiów. W okolicy wynajmowali mieszkania przyjaciele z roku: Kornelia, Ewa, Wojtek. Nigdy nie jadłam ciastek „spod trumienki”, bo wydawało mi się to makabrycznym pomysłem, poza tym tradycyjnie utrzymujący się tam zapach margaryny był odstręczający. W sąsiednim zakładzie pogrzebowym wraz z rodzeństwem załatwialiśmy kolejno formalności pogrzebowe po śmierci Rodziców.

Ludwika

W barze mlecznym podają teraz gyros, cukiernia „pod trumienką” nadal działa, a topole rosną... Kiedy pierwszy raz usłyszałam o pomysle na wspólną książkę, bardzo mi się on spodobał. Zawsze lubiłam patrzeć na fragmenty rzeczywistości jako na miejsca/obrazy, które oswojam swoją obecnością. Trudno mi jednak podsumować swoją pracę nad naszym zadaniem, które nie jest jeszcze ukończone, i scharakteryzować swój własny, osobisty sposób pojmowania przestrzeni. Mogę natomiast skupić się na kwestiach, które sprawiły mi niespodziewaną trudność.

Od początku przytłoczył mnie trochę monumentalizm narracji Babuni i konsekwentna ciągłość snutych przez nią historii. Chcąc się dopasować stylistycznie i tematycznie, starałam się zachować chronologię wydarzeń swojego życia, ale bardzo szybko stało się to trudne, nawet ze szkodą dla tekstu. Gdy pisałam o dzieciństwie, było to jeszcze względnie zasadne – przypominałam sobie, jak z każdym rokiem do mojej prywatnej mapy świata dołączały kolejne obszary, jak poszerzało się moje „tutaj”: najpierw mieszkanie przy ulicy Kosynierów Gdyńskich, potem podwórko – bezpośrednie otoczenie budynku, następnie „łąka” – ogromny skwer w centrum osiedla, potem wycieczki do centrum. Kiedy próbuję zachować chronologię późniejszych lat życia, miejsca, o których chcę pisać, znikają – rozpadają się na poszczególne slajdy. Na przykład budynek przy ulicy Powstańców Śląskich, który dla Babuni był przez 45 lat miejscem pracy – kiedy o nim myślę, widzę siebie jako dziecko w gabinecie Babuni, ona sama przy ogromnym biurku, a ze ścian spoglądają poważni profesorowie. Na klatce schodowej zawsze tłoczyli się bezrobotni (do niedawna w budynku mieścił się urząd pracy). Po latach sama się tam tłoczę, stoję przy oknie, a na parapecie, na tle światła, siedzi mój dwuipółletni synek – właśnie pierwszy raz w życiu zrozumiał abstrakcyjny dowcip. Stoimy samochodem przed skrzyżowaniem – ja, Babunia i Wujek –

jedziemy do szpitala. Nie patrzę na budynek, ale on tam jest – wiem, bo Babunia spojrzała. Pada deszcz.

Ciocia Basia po lekturze części mojego tekstu powiedziała, że wyraźnie moją pamięć aktywują kształty i kolory. Faktycznie – większość moich wspomnień ma postać pojedynczego obrazu, w którym kolor i światło odgrywają znaczącą rolę. Część z nich to obrazy wyobrażone, wspomnienia wspomnień, złudzenia optyczne, które rozwinęły się w rozbudowane fantastyczne wizje, wracające do mnie z jednakową siłą, ilekroć znajdę się w tym samym miejscu. Scena z czytanej książki, myśl czy fantazja nadrukowuje się w konkretnej lokalizacji i już zawsze tam jest – staje się częścią miejsca, taką samą jak kolor i kształt. Czasami, po drodze do parku, odwiedzam swój prześliczny, filozoficzny monolog czterolatki na temat życia po śmierci – siedzi nadal na progu dawnego żłobka przy obecnej ulicy Sławka na Sępólnie.

Nie wypracowałam jeszcze całościowej wizji swojego życia, więc moje zapiski nie będą tego rodzaju autobiografią. Może to kwestia wieku i życiowego doświadczenia – ta umiejętność dystansowania się wobec „ja – kiedyś” (bohater) przez „ja – teraz” (narrator); z opisu miejsca pozbyłabym się najchętniej zarówno linearnych fabuł, jak i narratora, pozostawiając jedynie poszczególne sceny oraz postać, która coś robi, mówi, coś przeżywa, na coś patrzy... Ale wówczas nie byłoby już opowieści.

Pamięcią rządzą kolory, ale opowieść podąża za motywami. Skoro tak trudne jest dla mnie zachowanie chronologii, spójność narracji staram się utrzymać, podążając za konkretnym wątkiem, prywatnym symbolem. Skwer przed moim domem na Sępólnie przecinają trzy szpalery topól – siaduję pod nimi latem na trawniku z książką, kiedy moje dzieci ścigają się wokół na rowerach. Sam skwer – centralna otwarta przestrzeń osiedla – miał być czymś innym w planach niemieckiego architekta – te szybko rosnące drzewa posadzono w latach 60., nieodwracalnie zmieniając tym cały przestrzenny obraz okolicy; topole są też – a może przede wszystkim – świadkami dzieciństwa trzeciego pokolenia mojej rodziny, na przełomie kwietnia i maja kwitną, powodując u mnie alergię, w czerwcu ich fruwający puch zwiastuje zbliżające się wakacje.

Osiedle Sępólno – przedwojenne miasto ogród – bardzo długo było dla mnie podstawowym obszarem życia; inne dzielnice, tak samo jak inne miejscowości, które znałam, stanowiły odległe nazwy na mapach nieprzystających do mojej. Centrum Wrocławia zaczęłam oswoić dopiero w czasie studiów i do tej pory do końca mi się to nie udało. Przestrzeń organizowała lokalizacja punktów ksero oraz bibliotek, Hala Targowa, gdzie kupowałam precle na drugie śniadanie, oraz kiosk, w którym zaopatrywałam się, raz w miesiącu, w „Nową Fantastykę” (zwinęte w rulon czasopismo fajnie wyglądało, wystając z kieszeni długiego płaszcza

– „plus dwa punkty do lansu”). Z preclami szłam do niewielkiego parku przy Odrze z zamglonym widokiem na Ostrów Tumski – czytałam, czasem karmiłam kaczki. Ulica Szewska (bezpośrednie okolice Rynku), gdzie mieścił się Instytut, w którym studiowałam, była dla mnie w gruncie rzeczy korytarzem – zawsze dokądś prowadziła. Było na niej dużo wiatru. Ale wieczorem – jakkolwiek trywialnie by to brzmiało – te same miejsca zmieniały się w inny świat. Zamiast bibliotek i ksero zjawiały się knajpy i kluby – za dnia całkiem przezroczyste i niezauważalne.

Gdybym miała wskazać istotne dla mnie punkty na mapie miasta, nie byłyby to obiekty kluczowe dla mojej edukacji i pracy ani węzły komunikacyjne czy centra społeczne, jak plac Grunwaldzki, Rynek lub gmach Uniwersytetu – będą to raczej parki, skrzyżowania ulic lub przystanki tramwajowe; to te miejsca najczęściej przylapywały mnie na ciekawej myśli czy zaskakiwały niecodziennym obrazem.

Janina (fragment o studiach)

„Byłam więc pełna optymizmu i bez zwłoki udałam się z odzyskanymi papierami do Studium na ulicę Witelona.⁸ Ulica ta (boczna ulicy Parkowej) graniczy z parkiem Szczytnickim. Stały tam piękne poniemieckie wille. Na końcu ulicy, tuż przy parku, znajdował się jeden z większych budynków, w którym mieściło się Studium Wychowania Fizycznego. Był tam dziekanat, gabinet dla profesorów i jednocześnie dom studencki. Dostałam miejsce w pokoju trzyosobowym. Pokój był jasny, czystutki z wygodnym łóżkiem, co po ponurej bursie liceum napawało mnie niesamowitym szczęściem. Naprzeciwko był ogromny oszklony budynek, w którym mieściły się sale do ćwiczeń. Największa z nich miała boisko do gry w siatkówkę i koszykówkę, często też służyła jako sala gimnastyczna. Najcudowniejszą rzeczą były jednak prysznice, gdzie po każdych zajęciach można było do woli wypłukać się w ciepłej wodzie. Na zewnątrz budynku rozciągała się ogromna, porośnięta trawą przestrzeń, sięgająca aż do ulicy Mickiewicza. Na jej obrzeżach ulokowane były ciemne pasy bieżni, a wewnątrz boiska do gry w piłkę nożną, siatkówkę i koszykówkę. Wszystko to w otoczeniu parku, który zimą pokryty był nieskazitelną bielą śniegu a wiosną – morzem zieleni. Okolice Studium należą do najpiękniejszych, najbardziej słonecznych miejsc mojej pamięci. Kojarzą mi się przede wszystkim z przestrzenią rozświetlonych boisk i hali sportowej, z przyrodą pobliskiego parku, z ruchem, ćwiczeniami fizycznymi i tzw. sprawnością fizyczną. [...]

[Po rozpoczęciu studiów rolniczych – B.F.] zamieszkałam z jedną z koleżanek w akademiku Wydziału Rolniczego, w pokoju przechodnim z kuchenną wnęką. Dwa następne pokoje zajmowało sześć dziewcząt, po trzy w każdym pokoju, tak że w małym mieszkanku (60 m²) było nas 8. Domy akademickie tego

wydziału znajdowały się na Biskupinie i zajmowały szeregowie domki robotnicze przy ulicach Kotsisa i Stanisławskiego. Były to przeważnie męskie domy studenckie, kilka z nich przeznaczono jednak dla dziewcząt. Na dalszych uliczkach znajdowały się domy Politechniki i Akademii Medycznej. Zamieszkała przez studentów dzielnica tworzyła jakby małe studenckie miasteczko – w tym miejscu zawsze było ludno i gwarno. Z rana i wieczorem studencka brać przemierzała uliczki tam i z powrotem, udając się na wykłady bądź też z nich wracając. W tym czasie tramwaje były przepełnione do granic wytrzymałości. W niedzielę co niektórzy udawali się do pobliskiego kościoła św. Rodziny na Sępolnie, na mszę. Większość jednak leniuchowała i opalała się nad Odrą, do czego zachęcały przepiękny krajobraz, wspaniała rzeka i bujne, różnokolorowe nadodrzańskie łąki. Długie spacery nad Odrą i możliwość uczenia się w plenerze wyrównywały niedostatki życiowe.

W akademikach na porządku dziennym było tzw. waletowanie, tj. przyjmowanie na nocleg dojeżdżających z pobliskich miejscowości bądź zamieszkujących na prywatnych stancjach kolegów, którzy – nie mogąc poddać wymaganiom płacowym – co raz to byli wyrzucani z tobołkami na przysłowiowy bruk. Dodatkowi lokatorzy nie byli mile widziani przez stałych mieszkańców, za co karę ponosili zazwyczaj gościnni gospodarze. Znam przypadek, gdy kolega o zbyt dobrym sercu, który nieomal codziennie przyprowadzał kogoś z ulicy na nocleg podczas bardzo ostrej zimy, zastał swój pokój pozbawiony drzwi i wyiębiony. Nad pustym otworem drzwiowym wisiał napis «Pan Sonet prowadzi dom otwarty». Nie wiem, czy wyleczyło to kolegę z odruchów dobroci, ale zdarzenie przeszło do historii.

W czasie studiów starałam się nie opuszczać ćwiczeń fizycznych. Zazwyczaj rozpoczynałam dzień w sali gimnastycznej na ulicy Witelona, a później pędziłam przez most Zwierzyniecki albo Szczytnicki na ulicę Norwida, gdzie w pięknym, secesyjnym gmachu mieścił się ówczesny Wydział Rolny Uniwersytetu Wrocławskiego. Z początku trudno było mi się przyzwyczaić. Z kameralnego zamkniętego świata sportu wpadłam w wir bujnego, prawdziwego życia akademickiego. Uczelnia rolnicza wchodziła w skład magicznego trójkąta trzech najważniejszych wrocławskich uczelni, który oprócz niej tworzyły: kompleks budynków Politechniki przy ulicy Smoluchowskiego nad Odrą i – równie okazały – kompleks klinik medycznych przy ulicy Curie-Skłodowskiej i Pasteura. Nie pamiętam, ilu studentów liczyły w sumie te uczelnie, natomiast młodzież akademicka dominowała w tej okolicy. Studentów wszędzie było pełno. Na ulicach, w korytarzach gmachów uczelni, na stołówce i tzw. potańcówkach. Można ich było odróżnić po czapkach, ponadto – w zależności od uczelni – nosili żartobliwe

przezwiaka. Szczególnie wyróżniali się medycy, ponieważ nosili ciemnoczerwone czapki ze złotym sznurem; byli oni zwani w żargonie studenckim „łapiduchami”. Studentów Politechniki od rolników trudniej było odróżnić, gdyż nosili tego samego koloru granatowe czapki różniące się tylko otokiem. Politechnicy, zwani potocznie „śrubokrętami”, mieli otok srebrny, a rolnicy, czyli „hreczkosieje” – zielony. Czasami też w tej części miasta pojawiali się studenci wydziałów uniwersyteckich, którzy tu mieszkali bądź znaleźli się przypadkowo. Ci uważani byli za arystokrację studencką. Ich czapki to białe, podłużne rogatywki, chyba z czerwonym otokiem. Ja nosiłam czapkę czerwoną, gdyż takie obowiązywały w Studium WF, dlatego wyróżniałam się wśród rolników, mimo że na I roku było nas chyba ponad 150”.

Barbara

Dla mnie park Szczytnicki jest inną mapą pamięci. Miejsca tak ważne dla Mamy są po prostu zespołem jakichś obiektów sportowych za siatką, na które nie zwracałam szczególnej uwagi podczas spacerów. Ważniejsze było wejście do parku z Sępolna od strony ul. Mickiewicza, glorieta, rosarium, ogród japoński, pergola i Hala Ludowa, aleje rododendronowe i cisowe, gdzie mój przyjaciel ze studiów Wojtek zaprosił mnie kiedyś na elegancki „piknik o północy” z szampanem, który piliśmy z tzw. fletów, i kawiozem podanym – a jakże – na lodzie. Wreszcie moje ukochane „miejsce na wiewiórkę”: jesienią stare dęby w purpurowozłotej szacie i otwarta łąka za nimi aż się prosiły, by postawić tam wielką wiewiórkę zbierającą żółędzie; obrazek z ilustracji w dziecinnej książeczce. Gdy jako dziewczynka jeździłam tramwajem przez park na lekcje baletu do Śródmieścia, magiczny był dla mnie przystanek przy ulicy Chopina na Zalesiu. Otwierały się drzwi wagonu i zawsze pachniało ołówkami. Tramwaj jechał od zakrętu przy Stadionie Olimpijskim pod sklepieniem ogromnych buków, a na przystanku rosły olbrzymie dęby, nieco dalej rozciągało się jedno z najpiękniejszych osiedli willowych starego Wrocławia. Marzyłam, by tam zamieszkać. Ciekawe, że to marzenie się spełniło. Splotem okoliczności Rodzice w latach 80. (najgorszych dla budowania czegokolwiek) wybudowali tam dom.

Z kolei miejsce „nad Odrą” to dla mnie i mojego Rodzeństwa najpierw przestrzeń rodzinnych spacerów, potem nielegalnych i „grzesznych” samodzielnych wypraw z podwórkową watahą, potem znów spacerów, ale z przyjaciółmi, a teraz także część najkrótszej drogi na cmentarz, gdzie pochowani są Rodzice. Tak przekonywałyśmy się, że w naszych pamięciach znaczenia wspólnych przestrzeni nie tylko się powiększają, ale też, nakładając się na siebie, przesuwają dzięki upływowi czasu i zmianom perspektywy treści i akcenty.

Do opowieści Ludwiki muszę dodać dwa elementy odnoszące się do Mamy. Pierwszy jest oczywisty: to zasób mojej pamięci zawierający ponad pięćdziesiąt lat intensywnych relacji z Nią. (Od kiedy w 1986 roku wyprowadziłam się do Warszawy, a zwłaszcza od śmierci Taty w 2007 roku, dzwoniłam do Niej co najmniej 3-4 razy w tygodniu, wykorzystywałam też każdą okazję, by jak najczęściej bywać we Wrocławiu). Możliwości uporządkowania tego zasobu są bardzo różnorodne: chronologicznie, tematycznie, impresjonistycznie, wedle typów sytuacji itd. Tu jednak moje doświadczenie jest podobne do tego, o którym napisała Ludwika: mnie także narracja układa się w miarę linearnie w opowieściach o dzieciństwie i rozpada na fragmenty w czasach późniejszych.

Drugi element jest jeszcze bardziej skomplikowany. Jak już wspomniałam, Mama bardzo wiele mi opowiadała zarówno o sobie, jak i o rodzinie swojej i mojego Taty. Ten zbiór opowieści traktuję jak trudny depozyt. Boję się, czy będę potrafiła wiernie go odtworzyć, uzupełniając Jej własny, zachowany przekaz. Poza tym moja pamięć przekazuje go we własnej ramie. Tworzy to nie tylko szczególną szkatułkową konstrukcję. Praca mojej pamięci nadaje tym opowieściom dodatkowe, zmysłowe treści tak, jak w opowieści o Prababci Czarnownicy. Miała na imię Dominika. Moja Mama uwielbiała swoją babcię, ale Jej matka (a moja Babcia) serdecznie nie znosiła teściowej. Prababcia Dominika chodziła w czerwonych koralach i lubelskich pasiakach, zbierała zioła, zamawiała uroki, prawdopodobnie też warzyła miłosne dekokta. Była osobą niezwykle pogodną i życzliwą ludziom. Moja rama: leżymy z Mamą na kanapach w salonie, w domu przy Chopina, chrapiemy czekoladki, podłoga pachnie pastą (właśnie skończyłam sprzątać, a Mama zrobiła sobie przerwę w gotowaniu), przez okna i otwarte drzwi od tarasu wpada słońce i zapach kwitnących jabłoni, Mama opowiada o Prababci, potem się zrywa, bo w kuchni kipi garnek. (Tu brak ciągłości). Jesteśmy z Mamą na cmentarzu w Bolesławcu. Jest 1 listopada, dość pogodny dzień. Pachną i szeleszczą pod stopami mokre liście klonów. Mama pokazuje mi grób Prababci Dominiki – daleko ją zaniósł od rodzinnych stron pod Puławami. Grób jest niezwykle kolorowy: kwiaty, jakieś błyszczące wstążeczki i przywiane (akurat tu!) piórka. Czuję coś niezwykle, bardzo intensywnie, a poza tym szokuje mnie spostrzeżenie, iż to najweselszy grób w tym dość ponurym miejscu.

Trzecią rzeczą, o której muszę tu wspomnieć, jest odkrycie, jakie uczyniłam na własny temat przy okazji pracy nad tą najtrudniejszą w moim życiu książką. Szperanie w pamięci uzmysłowiło mi z ogromną siłą, że moją pamięć ewokują zapachy: nie kształty, nie kolory, nie relacje czasoprzestrzenne – to pojawia się później. Jakikolwiek element, który przywołuję, pojawia się z natychmiastowym wspomnieniem zapachu. Miejsce odtwarza się więc w porządku:

*nazwa › pojęcie › zapach › kształt i materialne faktury
› aktorzy › działanie › refleksja.*

Ciekawa jestem, ile jeszcze niespodzianek czeka nas na tej drodze.

Przypisy

- ¹ Tekst zilustrowaliśmy wizerunkami z naszych czasów studentek: Janina Fatyga 1952 rok (portret namalowany przez Karkoszkę w latach 90. XX wieku), Barbara Fatyga 1975 rok, Ludwika Malarska 1999 rok.
- ² Pierwszy napisany wspólnie szkic ukazał się w „Tematach z Szewskiej” 2011, nr 1 (5), pt.: *W przestrzeni pamięci Wrocław się poszerza*, już po śmierci Mamy.
- ³ Alfred Schutz, *Potoczna i naukowa interpretacja ludzkiego działania*, [w:] Kryzys i schizma. Antyscjentystyczne tendencje w socjologii współczesnej, red. Edmund Mokrzycki, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1984, s. 147.

- ⁴ Janina Fatyga, *Dwie wsie, jedna rzeka, trzy narody*, tom I: Mostowice, WAiP (Łośgraf), Warszawa 2010. Drugi tom (o wsi czeskiej, zawierający m.in. unikatowe materiały biograficzne), ukończony tuż przed śmiercią Mamy, czeka na redakcję.
- ⁵ A więc, jak to jest np. u Edmunda Leacha, zarówno w porządku myślenia metaforycznego, jak i metonimicznego.
- ⁶ Prof. dr hab. Janina Fatyga specjalizowała się w erozji gleb górskich, łąkarstwie i rolniczej gospodarce górskiej w Sudetach.
- ⁷ Pierwsze wspólne mieszkanie moich Rodziców (studentki i asystenta) to jednopokojowe lokum przy ul. Hauke-Bossaka we Wrocławiu; białe, lakierowane drzwi do drugiego pokoju otwierały się na trzypiętrową przepaść – lej po bombie, a moim pierwszym łóżczkiem były dwa krzesła związane sznurkiem (BF – na podstawie relacji Mamy).
- ⁸ Mama po ukończeniu we Wrocławiu liceum studiowała najpierw wychowanie fizyczne, potem (po złamaniu nogi w kostce na nartach) przeniósł się na uczelnię rolniczą i przez pewien czas łączyła te dwa kierunki.



Iwan czaj – popularna roślina, z której parzono herbatę, tajga w drodze z Batagaj do Wierchojańska, Jakucja.
Fot. Lech Mróz.